

# Język jako środek wyrazu, mowa jako środek komunikacji

"...każdy dzień bez ćwiczeń, to dzień, w którym tracisz wprawę..." (nauczyciel Lulu, córki Amy Chua, autorki "Bojowej pieśni tygrysy")

Wiemy to wszyscy, "na naukę nigdy nie jest za późno", wielu rzeczy warto się uczyć w każdym wieku. Jeśli jednak chodzi o naukę języków, i to wszyscy wiemy, "im wcześniej tym lepiej". Mózg dziecka jest chłonny na naukę jak gąbka, od małości przechodzi przez kolejne ważne fazy rozwoju, współpracuje z całym ciałem wysyłając sygnały do odpowiednich mięśni kształtując je wedle swojej woli i tworzy swoje mniej czy bardziej sztywne struktury na resztę życia.

Mózg jest niezwykle plastycznym narzędziem w dzieciństwie i potrafi być równie niezwykle niepoddatny w późnym wieku. Języka lepiej uczyć się wtedy, gdy wchodzi do głowy miękko jak łyżka w masło. Bezwiednie. Wtedy i właściwości języka z łatwością się przyswajają, strukturę, akcent, wymowę, intonację, i ducha języka. Język najlepiej jest nie tyle znać, ile czuć.

Wiele jest szkół nauczania języków, od bardziej intuicyjnych, jak metoda niemieckiego poligloty Emila Krebbsa (1867-1930), po rozumowe, intelektualne podejście do nauki, jak to się dzieje z nauką łaciny czy starej greki, gdzie ważna jest analiza struktury języka. Zawsze jednak najważniejsza jest motywacja. Dziecko ma naturalną potrzebę naśladowania dorosłych, uczeń uczy się, żeby dostać dobre stopnie i przygotować się do życia wśród dorosłych, a człowiek dorosły chce znać języki, żeby móc się komunikować.

Przyjrzyjmy się Polsce. W dzisiejszych czasach, ery globalizmu, zniesienia wielu granic, wiz, rosnącej popularności zagranicznych wakacji, powszechnej mobilności a przede wszystkim wszechobecnej sieci okalającej cały świat, Internetu, filmów i filmików na YouTube, słownika Google, nauka języków jest bardzo ułatwiona, bo i motywacja większa, i narzędzia do nauki znacznie doskonalsze. Ale jeszcze do niedawna tak nie było.

W Polsce powojennej, zniszczonej, biednej, odciętej od świata, społeczeństwo raczej wydobywało się z analfabetyzmu, niż porywało na naukę innych języków, w szkole od piątej klasy obowiązkowo nauczano języka rosyjskiego, czy komuś miał się kiedykolwiek przydać, czy nie (choć lepsze to niż nic), w szkole średniej dochodził jeden język "zachodni", najczęściej angielski, rzadziej francuski, jeszcze rzadziej niemiecki, zniechęcony w czasie okupacji. Tyle proponowała edukacja państwowa. Kto miał większe potrzeby, to już we własnym zakresie.

Czasy, gdy w (nielicznych) posażnych rodzinach do dzieci zatrudniano obcojęzyczną guwernantkę, jakąś miss, Fräulein, czy mademoiselle, znane były jedynie z książek czy filmów, kultura biegłej znajomości choćby jednego języka obcego, rosyjskiego czy zachodniego, była nikła i nawet jeśli ktoś uczył się języków w szkole, to najczęściej nie miał ich gdzie w praktyce użyć, a gdy wyjechał za granicę i miał, to konstatował, że ani nie umie mówić, ani nie rozumie co do niego mówią, i zaczynał naukę od nowa.

Owszem, zdarzali się tacy ludzie jak Stanisław Lem, czy Agnieszka Osiecka, którzy znali kilka języków i nawet się nimi z cudzoziemcami porozumiewali, ale to tylko wyjątki potwierdzające regułę, u nas kultury uczenia się języków nie było. I choć dziś jest znacznie, znacznie lepiej, młodzi ludzie są o wiele bardziej zmotywowani do nauki języków, bo i w kraju się przydają, i wyjechać łatwiej, nadal daleko nam do takiej na przykład Szwajcarii, gdzie nawet "zwykłe" sprzedawczynie płynnie przechodzą z języka na język zależnie od tego, kogo obsługują.

No, ale Szwajcaria też jest wyjątkiem, Francuzi znają głównie francuski, Anglicy angielski i tylko Niemcy się starają, bo wiedzą, że ich języka nadal nie wszyscy się chętnie uczą, tak sobie zaszkodzili... Oprócz może u Włochów żyjących z turystyki z tabliczkami przed restauracjami i hotelami "man spricht Deutsch" ("mówi się po

niemiecku"). No, ale umówmy się, Goethego w oryginale Włosi powszechnie nie czytują. Tymczasem znajomość języka, ta prawdziwa, dogłębna, to właśnie czytanie w oryginale dzieł literatury. I to czytanie z czuciem i przyjemnością. Krótko mówiąc można znać język i "znać język".

I w tym kontekście chciałabym się zatrzymać nad znajomością języków na wysokim i niskim poziomie. Jeżeli bowiem język jest środkiem wyrażania siebie i to nie tylko na poziomie podstawowego przekomunikowania potrzeb czy zastrzeżeń, to dopiero od pewnego stopnia mówić można o rzeczywistej znajomości języka z podkreśleniem, że ta nigdy nie jest ani skończona, ani pełna. Że zawsze jesteśmy na etapie pogłębiania znajomości języka, tak jak nieustannie rozwijamy swój własny, ojczysty język w miarę czytania, osłuchania, wzbogacania słownictwa i giętkości naszej mowy.

Wspomniany tu już Stanisław Lem (1921-2006), pisarz i filozof, a może nawet filozof przede wszystkim, znał rosyjski, niemiecki i francuski w mowie i piśmie, urodzony i wychowany we Lwowie znał też ukraiński, oraz, jako absolwent liceum klasycznego i studiów medycznych, posiadał łacinę. Natomiast jego znajomość angielskiego była przedziwna. Bierna - jak sam przyznawał, nie mówił po angielsku i nie rozumiał angielskiego mówionego - ale niezwykle biegła, od czasów wojny czytał angielskie książki i pisma i miał ogromny i stale ogromniejący zasób słów.

Umiał więc nie tylko czytać i rozumieć tłumaczenia swoich książek na wszystkie znane mu języki - w tym na angielski - ale także ocenić poziom tłumaczenia. A przecież żeby w ogóle ktokolwiek mógł porywać się na tłumaczenie literatury, już musi znać swój własny język w stopniu znacznie wyższym niż ktoś, kto nie uprawia takiego zawodu.

Piszę o tym, bo jakże często słyszałam w swoim "zagranicznym" życiu: o, on/ona zna język perfekt! Tak naprawdę języka nie można znać "perfekt", bo "perfekt" znaczy "doskonale", czyli już niczego nie trzeba ulepszać, a przecież język można a nawet należy doskonalić zawsze. "Perfectum" (łac.) to czas "przeszły dokonany", czyli taki, w którym już nic nie da się zmienić. "Per" znaczy (tu:) "prze-" ("przed", "przez"), "facere" - "robić", "czynić". "Perfekt" to "zrobione", "skończone", "nic dodać".

Dlatego fakt, że ktoś się "dogaduje", a może nawet mówi płynnie, nie znaczy, że zna język w stopniu choćby dostatecznym. Poza tym "znać" język, a "czuć" język, to znowu jest skok jakościowy, o którym Lem do swojego najlepszego tłumacza na angielski, Michaela Kandla, pisał tak: "...żeby ocenić jakość stylizacji, trzeba język przekładu znać 'od środka', czyli 'czuć' go, a nie tylko rozumieć".

A tłumaczenie tekstów tak wymagających, jak pism Lema, to już najwyższa szkoła jazdy, bo dochodzi twórcza zabawa językiem i to słowotwórcy wyjątkowo kreatywnego, stylizacja (np. na quasi staropolski czyli sienkiewiczowski o wiele bliższy polskiemu czytelnikowi niż autentyczny staropolski) lub neologizacja, czyli wymyślanie słów i pojęć nieistniejących wcześniej. I wtedy, jak pisze Lem, "...sprawa jest niezwykle wprost trudna ze względu na zupełnie inaczej umieszczone w angielskim możliwości igrania językiem - aniżeli w polskim".

Ktoś powie, ale co tam Lem, półka, do której i tak mało kto sięga, ważne, żeby w miarę sprawnie posługiwać się językiem. Język jest żywym narzędziem komunikacji a nie materią sztucznych igraszek. To prawda. Ale warto sobie zdać sprawę z tego, co jest wyżej, a nie z tego, co jest poniżej, żeby równać w górę, a nie w dół.

Bo od czasu wejścia do UE pojawiło się nowe językowe zjawisko, mianowicie język polskich unijnych emigrantów zarobkowych. Zjawisko to jest już tak powszechne, że ma nawet swoją nazwę, to ani polski, ani angielski, to "ponglish". Co ciekawe, pojęcie to ma już swoje hasło w Wikipedii, ale tylko po angielsku i niemiecku, nie po polsku. Jest to "pol-ang-slang" używany przez spory odsetek polskiego społeczeństwa - na tyle, spory, że został dostrzeżony jako zjawisko - co powoduje swoistą gettoizację młodej Polonii.

Oczywiście mieszanie się języków to proces stary jak świat. I tak (prawie) wszystkie języki europejskie wywodzą

się ze wspólnego pnia, rodziny języków indoeuropejskich, którymi posługuje się aktualnie ok. 3 miliardy ludzi, czy 45% populacji, to 20 z 40 najpopularniejszych języków świata. Nie ma się więc co obruszać na zapożyczenia, czy "zaśmiecanie" rodzimych języków obcymi wyrażeniami, dziś, w czasach, gdy lingua franca to już dawno nie łacina i nie francuski, a język angielski, język globalnej sieci, język noosfery, najnowszej po geosferze i biosferze, umysłowej sfery naszej planety, następuje tak czy tak przyspieszona "anglikanizacja" języków.

Jednak uzupełnianie swojego języka pomocnymi, bardziej zgrabnymi czy okołoziemsko zrozumiałymi wyrażeniami, a dowolne miksowanie dwóch języków, to różnica. Zjawisko to - dawniej znane jako makaronizm - jest o tyle niepokojące, że ustawia naszych współrodaków a priori na niższej półce w hierarchii warstw społecznych nowych krajów zamieszkania i zawodowego funkcjonowania. Ściąga tych mniej licznych, którzy rzeczywiście znają język obcy na solidnym poziomie i umieją posługiwać się językiem ojczystym bez kaleczenia go naprędce spolszczonymi pojęciami, w dół.

Słuchanie takiego slangu z zewnątrz jest doświadczeniem tyleż zabawnym co bolesnym: *"Daj mi fona, jak już będziesz fri, to wezmę dzień offa i wydamy trochę keszu"* (przykład z niemieckiej Wikipedii). Doszło już nawet do tego, że sami o sobie mówimy językiem deprecjonizującym nas: "Pollocks", zamiast "Polacy", co jest nieco żartobliwym, ale i pogardliwym połączeniem angielskich wyrazów "Polls", "Polacy", i "bollocks", czyli delikatnie mówiąc "bzdury".

Czym innym bowiem jest umiejętne wplatanie obcych wyrazów dowodzące wysokiej kultury językowej - "jako prorok w belles-lettres nie zostałem wysłuchany", mówi o sobie Lem zgrabnie podstawiając pod "literaturę piękną" francuskie "belles-lettres" - a czym innym niechlujne upraszczanie języka topornie przysposobionymi pod polski wyrażeniami.

Język to niezwykle czuły wskaźnik naszego poziomu umysłowego i kulturalnego i dlatego właśnie lepiej poświęcić się nauce, żeby "wstydu nie było" niż uznać z góry, że skoro znamy język lepiej niż ci, którzy go w ogóle nie znają, to już jest "perfekt", i na tym zakończyć edukację w demaskującym nas samozadowoleniu. Nie znaczy to, że mamy się bać mówić, bo jeśli trzeba coś przekazać, to trzeba to zrobić tak, jak umiemy, ale znaczy, że warto sobie postawić poprzeczkę wysoko i ćwiczyć, dopóki się nie doskoczy, po czym przesunąć jeszcze wyżej. Tym samym sami podciągniemy się wyżej w hierarchii społecznej.

Jak bardzo język jest czuły, niech jeszcze raz poświadczą słowa Stanisława Lema o swoim kongenialnym tłumaczu:

*"Przekłady Pana należą do najdalszych od oryginału w leksykografii i we frazeologii, lecz do najbliższych duchem. Jest to tak, jakbym stare miłe strony oglądał przez zupełnie nową optykę. A może i to kiepska analogia, ponieważ książki te uczynił Pan cząstkami literatury angloamerykańskiej, raczej amerykańskiej niż angielskiej, i perfekcja tego wcielenia, czy tej Reinkarnacji, wydaje mi się czymś zarazem bardzo dziwnym i satysfakcjonującym. Jest to może raczej tak, jakby się miało dziecko, w którego wychowanie włożyło się wiele trudu i miłości, a jednego dnia siedzi się gdzieś na widowni czy w sali koncertowej i dziecko to daje jakiś nadzwyczajny pokaz artystycznej sprawności, a więc tego, czego nikt nikogo nie może nauczyć, skąd płynie uczucie zarazem obcości i nadzwyczajnej bliskości".*

Czytając takie słowa warto sobie uświadomić, że język polski jest językiem bardzo bogatym i pięknym i dążyć do pięknego używania go, a zarazem docenić urodę i inność języka obcego i uczyć się go z takim nastawieniem. Nawet niemiecki okazuje się wtedy być językiem Goethego i Schillera, językiem poezji, a nie filmów z czasów II wojny światowej.

I nawiązując do zacytowanej jako motto tego tekstu książki Amy Chua: chińska matka w Ameryce, Amy, była dla swoich córek niezwykle wymagająca o czym napisała swoją książkę. Książkę, która wywołała w świecie burzliwe dyskusje. Bo czy tak można? Czy można od dzieci wymagać aż tak wiele?

Otóż Amy jako matka wymagała przede wszystkim od siebie bardzo wiele, a to zawsze lepsze, niż na odwrót, bo robiła to z miłości do swoich dziewczynek. Pilnowanie ich nauki uznała za swój matczyzny obowiązek podobnie jak dbałość o ich karmienie i ubieranie. Niezależnie od tego, czy chodzi o naukę gry na jakimś instrumencie, naukę języków obcych, czy naukę czegokolwiek, ważne jest regularne przykładanie się, żeby w mózgu powstały i utwierdziły się odpowiednio mocne "łącza neuronowe", bo, jak napisała: "Wszak nic nie podbudowuje tak, jak świadomość, że nauczyłeś się czegoś, co wydawało ci się niemożliwe".

Tym sposobem można się nauczyć nawet chińskiego, a im wcześniej tym lepiej, i robić to codziennie po nie za małej ale też nie za dużej porcji, bo *"osiągnięcia to talent plus przygotowanie a im bardziej szczegółowo psychologowie analizują kariery osób utalentowanych, tym mniejszą rolę wydają się odgrywać wrodzone zdolności, a większą - ćwiczenie"*, pisze Malcolm Gladwell w swojej odkrywczej książce "Poza schematem" [1], a to znaczy, że każdy może przekraczać swój potencjał.